

The background of the entire image is a dark, moody scene of rain falling against a cloudy sky. In the lower half, a blue umbrella is open, viewed from a low angle looking up at its center. A single, bright red bloodstain is visible on the right side of the umbrella's canopy.

STEPHEN KING

PAN MERCEDES

ALBATROS

9—10 kwietnia 2009

Augie Odenkirk miał datsuna z 1997 roku, który mimo wielu kilometrów na liczniku wciąż dobrze ciągnął, ale benzyna była droga, zwłaszcza dla faceta bez pracy, a City Center leżało na drugim końcu miasta, więc Augie postanowił pojechać ostatnim wieczornym autobusem. Wysiadł dwadzieścia po jedenastej, z plecakiem na ramionach i zwiniętym śpiworem pod pachą. Pomyślał, że o trzeciej nad ranem będzie się cieszył z puchowego śpiwora. Noc była mglista i przejmująco zimna.

— Powodzenia, stary — pożegnał go kierowca. — Powinienesz dostać jakąś nagrodę za to, że będziesz tam pierwszy.

Tylko że nie był pierwszy. Kiedy dotarł na szczyt szerokiego, strome go podjazdu prowadzącego do wielkiej hali, zobaczył co najmniej dwa tuziny ludzi czekających już przed rzędem drzwi. Niektórzy stali, większość siedziała. Ustawiono słupki i rozciągnięto pomiędzy nimi żółtą taśmę z napisami NIE PRZEKRACZAĆ; powstało skomplikowane przejście, kręte jak labirynt. Augie znał to z kin i banku, w którym miał

obecnie debet, i rozumiał cel: stłoczyć jak najwięcej ludzi na jak najmniejszej przestrzeni.

Podchodząc do grupy ludzi, którzy wkrótce utworzą korowód bezrobotnych ubiegających się o pracę, Augie ze zdumieniem i konsternacją zobaczył, że kobieta na końcu kolejki trzyma śpiące dziecko w nosidełku. Dziecko miało policzki zaczerwienione z zimna; przy każdym wydechu nieznacznie rzęziło.

Kobieta usłyszała kroki lekko zasapanego Augiego i odwróciła się. Była młoda i całkiem ładna, mimo podkrążonych oczu. Przy jej nogach stała nieduża pikowana torba. Augie przypuszczał, że zawiera rzeczy dla dziecka.

— Cześć — powiedziała kobieta. — Witamy w Klubie Rannych Ptaszków.

— Kto rano wstaje... — Zastanowił się, pomyślał: A co tam, i wyciągnął rękę. — August Odenkirk. Augie. Niedawno mnie zredukowali. Tak się mówi w dwudziestym pierwszym wieku, jak kogoś wyleją.

Podąła mu rękę. Miała przyjemny uścisk, mocny, bez cienia nieśmiałości.

— Nazywam się Janice Cray, a moje małe szczęście to Patti. Mnie też chyba zredukowali. Byłam gosposią u miłej rodziny w Sugar Heights. Mój były pracodawca... ee... sprzedaje samochody.

Augie skrzywił się.

Janice kiwnęła głową.

— Wiem. Powiedział, że żałuje, ale muszą zacisnąć pasa.

— Ciagle się to słyszy — przyznał Augie, myśląc: Nie mogłaś znaleźć nikogo do dziecka? Naprawdę nikogo?

— Musiałam ją zabrać. — Janice Cray nie potrzebowała telepatycznych zdolności, żeby odczytać jego myśli. — Nie mam nikogo, kto mógłby się nią zająć. Dosłownie nikogo. Dziewczyna z mojej ulicy nie mogła zostać całą noc, nawet gdybym jej zapłaciła, a i tak nie miałabym z czego. Nie wiem, co zrobimy, jeśli nie dostanę tej pracy.

— Twoi rodzice nie mogli jej wziąć? — zapytał Augie.

— Mieszkają w Vermoncie. Gdybym miała trochę rozumu, zabrałabym Patti i pojechała do nich. Tam jest ładnie. Tylko że oni mają własne kłopoty. Tata mówi, że dom tonie. Nie dosłownie, to nie powódź ani nic takiego, tylko sprawy finansowe.

Augie kiwnął głową. To też często się słyszało.

Kilka samochodów wjeżdżało stromym podjazdem od Marlborough Street, gdzie Augie wcześniej wysiadł z autobusu. Skreśliły w lewo, na rozległy, pusty parking, który z pewnością zapełni się do rana... za kilka godzin, kiedy Pierwsze Doroczne Miejskie Targi Pracy otworzą podwoje. Żaden z samochodów nie wyglądał na nowy. Kierowcy zaparkowali i prawie ze wszystkich aut wysiadło po trzech lub czterech szukających pracy, którzy skierowali się do drzwi hali. Augie nie stał już na końcu kolejki. Sięgała prawie do pierwszego zakrętu.

— Jeśli dostanę pracę, wynajmę opiekunkę — ciągnęła Janice. — Ale dzisiaj ja i Patti musimy zacisnąć zęby.

Dziewczynka zakaszła chrapliwie, co wcale nie spodobało się Augiemu, poruszyła się w nosidełku i znowu znieruchomiała. Przynajmniej była ciepło otulona; nawet na rączkach miała małeńkie mitenki.

Dzieciaki przeżywają gorsze rzeczy, pocieszał się niepewnie

Augie. Pomyślał o Dust Bowl i wielkim kryzysie. Tyle że dla niego ten był dostatecznie wielki. Dwa lata temu wszystko się układało. Nie żeby się pławił w luksusach, ale jakoś wiązał koniec z końcem i zwykle nawet mógł co miesiąc odłożyć niewielką sumę. Teraz wszystko diabli wzięli. Coś się porobiło z pieniędzmi. Nie rozumiał tego; był tylko urzędasem w dziale wysyłkowym Great Lakes Transport, znał się na fakturach i używał komputera, żeby wysyłać towary drogą morską, powietrzną i lądową.

— Ludzie widzą mnie z dzieckiem i myślą, że jestem nieodpowiedzialna — mówiła nerwowo Janice. — Wiem, widzę to w ich twarzach, widziałam w twojej twarzy. Ale co miałam robić? Nawet gdyby ta dziewczyna od sąsiadów mogła zostać na całą noc, to by kosztowało osiemdziesiąt cztery dolary. Osiemdziesiąt cztery! Mam odłożone na czynsz za przyszły miesiąc, a potem jestem splukana. — Uśmiechnęła się i w blasku wysokich lamp sodowych z parkingu Augie dostrzegł łzy na końcach jej rzęs. — Rozgadałam się. Przepraszam.

— Nie musisz przepraszać.

Kolejka zrobiła już pierwszy zakręt i dotarła z powrotem do miejsca, gdzie stał Augie. Dziewczyna miała rację. Zauważył, że wiele osób gapi się na śpiące dziecko w nosidełku.

— Och, ciagle to robię. Jestem samotną, niezamężną matką bez pracy. Przepraszam wszystkich za wszystko.

Odwróciła się i popatrzyła na baner zawieszony nad szeregami drzwi:

GWARANTUJEMY 1000 MIEJSC PRACY!

A poniżej:

Popieramy ludzi z naszego miasta!

— BURMISTRZ RALPH KINSLER

— Czasami mam ochotę przeproszać za Columbine* i za jedenasty września, i za to, że Barry Bonds bierze sterydy. — Zachichotała na wpół histerycznie. — Czasami chcę nawet przeprosić za wybuch promu kosmicznego, chociaż kiedy to się stało, dopiero uczyłam się chodzić.

— Nie martw się — powiedział Augie. — Wszystko będzie dobrze.

Takie rzeczy po prostu się mówi.

— Szkoda tylko, że jest tak wilgotno. Owinęłam ją na wypadek, gdyby zrobiło się bardzo zimno, ale ta wilgoć... — Pokręciła głową. — Nic to, damy radę, prawda, Patti? — Obdarzyła Augiego słabym, pozbawionym nadziei uśmiechem. — Żeby tylko nie padało.

. . .

Nie padało, ale robiło się coraz bardziej wilgotno; widzieli kropelki wody zawieszone w smugach światła lamp sodowych. W którymś momencie Augie się zorientował, że Janice Cray zasnęła na stojąco: zgarbiona, z jednym biodrem wysuniętym do przodu, z mokrymi włosami opadającymi na twarz, z brodą niemal wspartą na piersi. Spojrzał na zegarek i zobaczył, że

* Masakra w Columbine High School — jedno z największych masowych zabójstw na terenie placówek oświatowych w historii Stanów Zjednoczonych; doszło do niej 20 kwietnia 1999 roku.

jest za kwadrans trzecia.

Dziesięć minut później Patti Cray obudziła się i zaczęła płakać. Jej matka (niezamężna matka, pomyślał Augie) wzdygnęła się, parsknęła jak koń, uniosła głowę i próbowała wyciągnąć dziecko z nosidełka. Nie mogła sobie poradzić — nóżki malej uwięzły. Augie pomógł, przytrzymując boki nosidełka. Wreszcie Patti się wyłoniła, teraz zawodząc na całego. Krople wody lśniły na jej maleńkim różowym kaftaniku i dopasowanym czepeczku.

— Jest głodna — powiedziała Janice. — Mogę jej dać pierś, ale w dodatku się zmoczyła. Czuję przez śpioszki. Boże, nie mogę jej tu przewijać... zobacz, jaka mgła się zrobiła!

Augie zastanawiał się, jakie bóstwo obdarzone poczuciem humoru ustawiło go w kolejce za tą kobietą. Zastanawiał się również, jak, do cholery, ona przebrnie przez resztę życia... przez całe życie, nie następne osiemnaście czy ileś lat odpowiedzialności za dziecko. Żeby wyjść w taką noc tylko z torbą pieluszek! Była aż tak zdesperowana?

Położył wcześniej swój śpiwór obok torby z pieluszkami Patti. Teraz kucnął, rozwiązał tasiemki, rozwinął śpiwór i rozsunał zamek błyskawiczny.

— Włóż tam. Rozgrzejcie się. Potem podam ci to, czego potrzebujesz.

Popatrzyła na niego, trzymając wierzące się, płaczące dziecko.

— Jesteś żonaty, Augie?

— Rozwiedziony.

— Dzieci?

Pokręcił głową.

— Dlaczego jesteś dla nas taki dobry?

— Bo tu jesteśmy — odparł i wzruszył ramionami.

Patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, podejmując decyzję, potem podała mu dziecko. Augie trzymał Patti na odległość ramienia, zafascynowany czerwoną, rozwścieczoną twarzyczką, kapką smarków wiszącą u małego zadartego noska, pedałującymi nóżkami we flanelowych śpioszkach. Janice wsunęła się do śpiwora i uniosła ręce.

— Daj mi ją, proszę.

Augie podał dziecko i kobieta zagrzebała się głębiej w śpiwór. Obok nich, tam, gdzie kolejka po raz pierwszy się dublowała, stali i gapili się dwaj młodzi mężczyźni.

— Pilnujcie własnego nosa — warknął Augie i obcy odwrócili wzrok.

— Podaś mi pieluszkę? — poprosiła Janice. — Powinnam przewinąć, zanim nakarmię.

Przyklęknął na jedno kolano na mokrym chodniku i rozpiął suwak pikowanej torby. W pierwszej chwili zdziwił się, widząc pieluszki z tkaniny zamiast pampersów, potem zrozumiał. Pieluszek z materiału można używać wiele razy. Może ta kobieta nie była całkiem beznadziejna.

— Widzę butelkę Baby Magic. Też ci dać?

Z wnętrza śpiwora, skąd wystawał teraz tylko kosmyk brązowych włosów, padła odpowiedź:

— Tak, poproszę.

Podał pieluszkę i balsam. Śpiwór zaczął się kręcić i podskakiwać. Początkowo płacz się nasilił. Z któregoś dalszego zakrętu kolejki, ginącego w gęstniejącej mgle, ktoś zawołał:

— Nie możecie uciszyć tego bachora?!

Ktoś inny dodał:

— Powinno się wezwać opiekę społeczną.

Augie czekał, obserwując śpiwór. Wreszcie materiał przestał się poruszać i wysunęła się ręka trzymająca pieluszkę.

— Włóżysz to do torby? Tam jest plastikowy worek na brudne. — Janice wyjrzała jak kret z nory. — Nie bój się, to nie kupka, tylko mokre.

Augie wziął pieluszkę, włożył do plastikowego worka (z nadrukiem COSTCO), potem zamknął torbę na suwak. Płacz dochodził z wnętrza śpiwora jeszcze przez jakąś minutę, potem ucichł nagle, kiedy Patti zaczęła się pożywiać na parkingu City Center. Nad szeregiem drzwi, które nie otworzą się jeszcze przez sześć godzin, załopotał niefrasobliwie baner.

GWARANTUJEMY 1000 MIEJSC PRACY!

Akurat, pomyślał Augie. I nie złapiesz AIDS, jeśli zażywasz dużo witaminy C.

Minęło dwadzieścia minut. Na wzgórze wjechało z Marlborough Street więcej samochodów. Do kolejki dołączyło więcej ludzi. Augie oceniał, że czeka już około czterystu osób. W tym tempie zbierze się ze dwa tysiące, i to według ostrożnych szacunków, zanim drzwi się otworzą o dziewiątej.

Gdyby mi zaproponowali smażenie frytek w McDonaldzie, zgodziłbym się? — myślał.

Pewnie tak.

A stanowisko witającego klientów w Walmarcie?

Och, jasne. Szeroki uśmiech i „witamy serdecznie”. Augie uznał, że mógłby wykonywać tę pracę z palcem w nosie.

Jestem towarzyski, pomyślał. I parsknął śmiechem.

— Co cię tak rozśmieszyło?

— Nic — odparł Augie. — Karm tego dzieciaka.

— Karmię — odpowiedziała Janice z uśmiechem.

. . .

O wpół do czwartej uklęknął, podniósł klapę śpiwora i zajrzał do środka. Janice Cray spała mocno, zwinięta w kłębek, z dzieckiem przy piersi. Ten widok przypomniawszy mu *Grona gniewu*. Jak się nazywała ta dziewczyna? Ta, która na końcu karmiła piersią mężczyznę? Imię jak nazwa kwiatu, pomyślał. Lily? Nie. Dahlia? Z całą pewnością nie. Miał ochotę złożyć dłonie wokół ust, podnieść głos i zawołać do tłumu: CZY KTOŚ TU CZYTAŁ *GRONA GNIEWU*?!

Kiedy się podnosił (uśmiechając się na myśl o tym absurdalnym pytaniu), przypomniało mu się imię. Rose. Tak się nazywała dziewczyna w *Gronach gniewu*. Ale nie po prostu Rose; Rosesharon, Róża Szaronu. Brzmiało biblijnie, jednak nie dałby za to głowy; nigdy nie czytał Biblii.

Popatrzył na śpiwór, w którym spodziewał się spędzić najzimniejsze godziny nocy, i pomyślał o Janice Cray, która chciała przeproszać za Columbine, jedenasty września i Barry'ego Bondsę. Pewnie wzięłaby też na siebie winę za efekt cieplarniany. Może po wszystkim, kiedy dostaną pracę... albo nie — co było równie prawdopodobne — zaprosi ją na śniadanie. Żadna randka, nic takiego, tylko jajecznicę na bekonie. A potem nigdy więcej się nie spotkają.

Przybywało coraz więcej ludzi. Zapelnili do końca serpentynowe przejścia ogrodzone taśmą z ważniackim

napisem NIE PRZEKRACZAĆ. Potem kolejka rozciągnęła się na parking. Co dziwiło Augiego — i trochę niepokoiło — to panująca wszędzie cisza. Jakby wszyscy wiedzieli, że im się nie powiedzie, i tylko czekali na oficjalne potwierdzenie.

Baner znowu niefrasobliwie zatrzepotał.

Mgła wciąż gęstniała.

. . .

Tuż przed piątą Augie ocknął się z drzemki, potupał, żeby odzyskać władzę w zdrętwiałych nogach, i spostrzegł, że w ciemność wkradło się brzydkie światło barwy żelaza. Stanowiło całkowite przeciwieństwo różanopalcej jutrzienki poetów i starych filmów w technikolorze; to była antyjutrzienka, wilgotna i błada jak policzek wczorajszego trupa.

Widział halę City Center, powoli wyłaniającą się w całej tandetnej architektonicznej chwale z lat siedemdziesiątych zeszłego wieku. Widział zakręcającą dwadzieścia razy kolejkę cierpliwych ludzi, której ogon ginął we mgle. Teraz zaczęły się rozmowy, a kiedy przez hol za zamkniętymi drzwiami przeszedł woźny w szarym roboczym kombinezonie, rozległy się niegłośnie, ironiczne wiwaty.

— Odkryto życie na innych planetach! — krzyknął jeden z młodych ludzi, którzy wcześniej gapili się na Janice Cray... to był Keith Frias, którego lewe ramię niedługo zostanie wyrwane.

Ta cięta uwaga wywołała śmiech i rozmowy się ożywiły. Noc minęła. Nikłe światło niespecjalnie dodawało odwagi, ale było trochę lepsze niż długie godziny przed świtem.

Augie uklęknął obok śpiwora i nadstawił ucha. Uśmiechnął się, słysząc ciche, regularne chrapanie. Może niepotrzebnie się

martwił o Janice Cray. Zapewne istnieją ludzie, którzy przez całe życie polegają na innych i jakoś udaje im się przetrwać, nawet nieźle im się wiedzie. Ta młoda kobieta z małym dzieckiem, chrapiąca teraz w jego śpiworze, pewnie do nich należała.

Przyszło mu do głowy, żeby przy różnych okienkach przedstawiać się z Janice Cray jako para. Wtedy obecność dziecka nie świadczyłaby o braku odpowiedzialności, tylko raczej o wspólnym zaangażowaniu. Nie miał pewności, czy ktokolwiek w to wierzy, natura ludzka w dużym stopniu pozostawała dla niego tajemnicą, ale przypuszczał, że to możliwe. Postanowił powiedzieć Janice o tym pomysśle, kiedy się obudzi. Zobaczyć, jak zareaguje. Nie mogli udawać małżeństwa; ona nie nosiła obrączki, a on zdjął swoją na zawsze przed trzema laty, ale mogli się podawać za... jak to się teraz mówi? Partnerów.

Samochody nadal wjeżdżały po stromej pochyłości z Marlborough Street w stałych odstępach. Wkrótce pojawiają się również piesi, którzy przyjadą pierwszym porannym autobusem. Augie był całkiem pewien, że zaczną napływać o szóstej. Z powodu gęstej mgły widział tylko przednie światła nadjeżdżających samochodów i niewyraźne cienie przyczajone za szybami. Kilku kierowców zniechęciło się na widok ogromnego tłumu czekających i zawróciło, większość jednak jechała dalej, w stronę nielicznych pozostałych miejsc parkingowych; tylne światła ich wozów rozmywały się we mgle.

Potem Augie zauważył sylwetkę samochodu, który ani nie zawrócił, ani nie jechał dalej na koniec parkingu. Miał

niezwykle jasne reflektory i żółte światła przeciwmgielne.

Lampy ksenonowe, pomyślał Augie. To mercedes benz. Co robi merc na targach pracy?

Przypuszczał, że to burmistrz Kinsler przyjechał wygłosić przemówienie do Klubu Rannych Ptasek. Pogratulować im ikry, starej dobrej amerykańskiej inicjatywy. Jeśli tak, myślał Augie, pojawienie się w mercedesie — nawet wiekowym — jest w złym guście.

Starszy facet w kolejce przed Augiem (Wayne Welland, w ostatnich chwilach swojej ziemskiej egzystencji) powiedział:

— Czy to benz? Wygląda jak benz.

Augie chciał już odpowiedzieć, że oczywiście tak, nie można nie rozpoznać ksenonowych reflektorów mercedesa, ale wtedy kierowca samochodu bezpośrednio za niewyraźną sylwetką nacisnął klakson — długi, niecierpliwy sygnał. Ksenonowe lampy błysnęły jeszcze jaśniej, wycinając oślepiająco białe stożki wśród wiszących w powietrzu kropelek mgły, i wóz skoczył do przodu, jakby spłoszony przez klakson.

— Hej! — zawołał Wayne Welland ze zdziwieniem. To było jego ostatnie słowo.

Mercedes przyspieszył, kierując się prosto w najgęstszy tłum bezrobotnych, otoczonych przez taśmy z napisami NIE PRZEKRACZAĆ. Kilka osób próbowało uciekać, ale tylko ci na tyłach tłumu zdołali się wyrwać. Ci bliżej drzwi — prawdziwe ranne ptaszki — nie mieli szans. Uderzyli w słupki i przewrócili je, zaplątali się w taśmy, odbijali się od siebie. Tłum kołysał się do przodu i do tyłu, falował gwałtownie. Starsi i mniejsi przewracali się, inni ich tratowali.

Augie został mocno popchnięty w lewo, potknął się,

odzyskał równowagę i poleciał do przodu. Czyjś łokieć z rozmachem wałnął go w kość policzkową tuż pod prawym okiem i połowę pola widzenia wypełniły jaskrawe fajerwerki przypominające te z okazji Czwartego Lipca. Drugim okiem widział, jak mercedes nie tyle wyłania się z mgły, ile jakby z niej powstaje. Wielki szary sedan, może SL500 z dwunastoma cylindrami, i wszystkie dwanaście teraz wyło.

Augie został rzucony na kolana obok śpiwora i zarobił mnóstwo kopniaków, kiedy usiłował wstać: w ramię, w szyję, w bark. Ludzie wrzeszczeli. Usłyszał krzyk kobiety: „Uważaj, uważaj, on nie hamuje!”.

Zobaczył, jak Janice Cray wystawia głowę ze śpiwora, mrugając w oszołomieniu. Znowu skojarzyła mu się z płochliwym kretem wyglądającym z nory. Krecicą, zaspaną i rozczochraną.

Przeleżał na czworakach i nakrył sobą śpiwór, kobietę i dziecko w środku, jakby własnym ciałem mógł ich osłonić przed dwutonowym wytworem niemieckiej techniki. Słyszał krzyki, niemal zagłuszone przez zbliżający się ryk potężnego silnika sedana. Ktoś rąbnął go mocno w tył głowy, ale prawie tego nie poczuł.

Zdażył pomyśleć: Chciałem postawić Róży Szaronu śniadanie.

Zdażył pomyśleć: Może on skręci.

Tak, to była ich szansa, prawdopodobnie jedyna szansa. Zaczął podnosić głowę, żeby sprawdzić, czy tak się stanie, ale ogromna czarna opona przesłoniła mu świat. Poczuł, że kobieta ściska jego przedramię. Poczuł jeszcze przebłysk nadziei, że dziecko ciągle śpi. Potem czas się skończył.

DET. EM.

1

Hodges wychodzi z kuchni z puszką piwa w ręku, siada w fotelu telewizyjnym La-Z-Boy i stawia puszkę na stoliku z lewej strony, obok broni. To rewolwer Smith & Wesson .38 z oznaczeniem M & P stosowanym w wyposażeniu wojskowym i policyjnym. Hodges poklepuje go z roztargnieniem, jak się poklepuje starego psa, potem bierze pilota i włącza Kanał Siódmy. Trochę się spóźnił i publiczność w studiu już klaszcze.

Myśli o modzie, przelotnej i zgubnej, która nawiedziła miasto pod koniec lat osiemdziesiątych. Czy może raczej „zaraziła”, bo to było jak przejściowa gorączka. Trzy miejskie gazety pisały o tym wstępniaki tamtego lata. Teraz dwie z tych gazet wyciągnęły nogi, a trzecia dogorywa.

Prezenter wkracza na scenę w eleganckim garniturze, machając do publiczności. Hodges ogląda ten show prawie codziennie, odkąd przeszedł na emeryturę, i uważa, że prowadzący jest za inteligentny do takiej roboty, przypominającej nurkowanie w ścieku bez kombinezonu. Myśli, że prezenter należy do tego typu ludzi, którzy popełniają

samobójstwo, a potem wszyscy krewni i znajomi zapewniają, że nic na to nie wskazywało; opowiadają, jaki był wesoły, kiedy go widzieli ostatni raz.

Na tę myśl Hodges znowu z roztargnieniem poklepuje rewolwer. To model Victory. Stary, ale jary. Kiedy Hodges był w czynnej służbie, miał glocka kaliber .40. Kupił go — policjanci w tym mieście musieli sami sobie kupować służbową broń — i teraz glock leży bezpiecznie ukryty w sypialni. Bezpieczny w bezpiecznym sejfie. Rozładował go i schował po uroczystym pożegnaniu, i od tamtej pory nawet na niego nie spojrzął. Nic ciekawego. Lubi jednak trzydziestkęsemkę. Jest do niej sentymentalnie przywiązany, ale nie tylko o to chodzi. Rewolwer nigdy się nie zacina.

Oto pierwszy gość, młoda kobieta w krótkiej błękitnej sukience. Twarz ma ociupinkę bezmyślną, za to ciało fantastyczne. Hodges wie, że pod tą sukienką kryje się tatuaż z rodzaju tych nazywanych obecnie *tramp-stamp*. Może dwa albo trzy. Mężczyźni na widowni gwizdzą i tupią. Żeńska część widowni klaszcze trochę oszczędniej. Niektóre panie przewracają oczami. Żadna nie chciałaby, żeby jej mąż się gapił na taką kobietę.

Dziewczyna jest wkurzona od samego początku. Opowiada prezenterowi, że jej chłopak ma dziecko z inną i ciągle ich odwiedza. Ona nadal go kocha, mówi, ale nienawidzi tej...

Rozlega się przeciągły dźwięk zagłuszający jej następne słowa, ale Hodges odczytuje z ruchu warg: „pieprzonej kurwy”. Publiczność wiwatuje. Hodges pociąga łyk piwa. Wie, co będzie dalej. Ten program jest przewidywalny jak serial w piątkowe popołudnie.

Prezenter pozwala jej jeszcze trochę pogadać, po czym przedstawia... DRUGĄ KOBIETĘ! Ta też ma fantastyczne ciało i burzę blond włosów, i tatuaż. Podchodzi do pierwszej kobiety i mówi:

— Rozumiem, jak się czujesz, ale ja też go kocham.

Zamierza powiedzieć coś jeszcze, ale nie zdąża, ponieważ Fantastyczne Ciało Jeden przechodzi do ataku. Ktoś za sceną daje sygnał dzwonkiem, jakby rozpoczynała się runda bokserska. Hodges myśli, że program rzeczywiście przypomina walkę i że wszyscy goście tego show muszą otrzymywać wynagrodzenie; inaczej czemu by to robili? Dwie kobiety okładają się pięściami i drapią paznokciami przez kilka sekund, po czym rozdziela je dwóch mięśniaków w koszulkach z napisem OCHRONA, którzy obserwowali całą scenę z pewnej odległości.

Przez jakiś czas kobiety wrzeszczą na siebie, gruntowna i szczerza wymiana poglądów (wiele niecenzuralnych słów zostaje zagłuszonych), podczas gdy prezenter przygląda im się dobrotliwie. Tym razem Fantastyczne Ciało Dwa podejmuje walkę na nowo, wymierzając rywalce siarczysty policzek. Głowa Fantastycznego Ciała Jeden odskakuje do tyłu. Znowu rozlega się dzwonek. Kobiety przewracają się na scenę, zadzierając sukienki, biją się, drapią i gryzą. Publika szaleje. Mięśniaki z ochrony rozdzielają zapaśniczki i prezenter staje między nimi, przemawiając tonem z pozoru uspokajającym, w rzeczywistości podżegającym. Kobiety deklarują głębię swojej miłości, plując jedna drugiej w twarz. Prezenter zapowiada, że zaraz wróci na antenę, a potem aktorka klasy C reklamuje pigułki odchudzające.

Hodges pociąga następny łyk piwa i wie, że nie wypije nawet pół puszki. Dziwne, bo kiedy był glina, niemal popadł w alkoholizm. Kiedy picie zniszczyło jego małżeństwo, uznał, że naprawdę jest alkoholikiem. Zmobilizował całą siłę woli i pohamował się, obiecując sobie, że będzie pił, ile dusza zapagnie, jak już odpracuje swoje czterdzieści lat... Imponująca liczba, skoro pięćdziesiąt procent miejskich gliniarzy odchodziło na emeryturę po dwudziestu pięciu latach służby, a siedemdziesiąt procent po trzydziestu. Tyle że teraz, gdy już przepracował swoją czterdziestkę, alkohol przestał go interesować. Kilka razy upił się na siłę, żeby sprawdzić, czy jeszcze może, i mógł, ale po pijaku wcale nie czuł się lepiej niż na trzeźwo. Właściwie nawet trochę gorzej. Dziwne.

Koniec reklam. Prezenter show zapowiada następnego gościa i Hodges wie, kto to będzie. Publiczność też wie. Ujadają wyczekująco. Hodges podnosi broń ojca, zagląda do lufy i odkłada rewolwer z powrotem na program telewizyjny.

Mężczyzna, o którego tak zawzięcie rywalizują Fantastyczne Ciało Jeden i Fantastyczne Ciało Dwa, wyłania się zza kulis po prawej stronie. Wiadomo, jak będzie wyglądał, zanim jeszcze wszedł dumnym krokiem, i tak, to on: pompciarz na stacji benzynowej albo magazynier w Targecie, albo może gość, który zrobił ci detailing samochodu (źle) w warsztacie Mr. Speedy. Jest chudy i blady, z czarnymi włosami sterczącymi nad czołem. Nosi drelichowe spodnie i krzykliwy żółto-zielony krawat, zaciśnięty jak postronek tuż poniżej wystającego jabłka Adama. Spod nogawek spodni wystają spiczaste czubki zamszowych butów. Wiedziałeś, że kobiety mają tatuaże, i wiesz, że ten mężczyzna ma kutasa wielkiego

jak koń, strzela spermą mocniej niż lokomotywa i szybciej niż rozpędzony pocisk; dziewica, która usiadzie na toalecie, gdzie ten facet się spuścił, zajdzie w ciążę. Prawdopodobnie urodzi bliźnięta. Mężczyzna szczerzy zęby w cwaniackim uśmieszku równego gościa na luzie. Wymarzony zawód: życiowy inwalida. Wkrótce znowu zabrzmi dzwonek i dwie kobiety rzucą się na siebie. Później, kiedy wysłuchają już wystarczająco dużo jego chamskich uwag, wymienią spojrzenia, lekko kiwną głowami i obie go zaatakują. Tym razem personel ochrony zaczeka trochę dłużej, ponieważ ta końcowa bitwa to jest to, co publiczność w studiu i w domach naprawdę chce zobaczyć: kwoki napastujące koguta.

Ta krótka i fatalna moda pod koniec lat osiemdziesiątych — infekcja — nazywała się „walki meneli”. Jakiś rynsztokowy geniusz wpadł na pomysł, który okazał się zyskowny, a wtedy trzech czy czterech impresariów doskoczyło, żeby dopracować umowę. Brało się dwóch meneli i płaciło każdemu po trzydzieści dolców, żeby się naparzali w wyznaczonym czasie i miejscu. Z miejsc Hodges najlepiej pamiętał stację obsługi za obskurną farmą krabów należącą do klubu striptizowego Bam Ba Lam, po wschodniej stronie miasta. Jak już ustaliłeś program walk, reklamowałeś imprezę (ustnie, bo w tamtych czasach internet nie był jeszcze powszechnie dostępny) i inkasowałeś od widzów dwadzieścia dolców od łebka. W tej, na którą Hodges i Pete Huntley zrobili nalot, uczestniczyło ponad dwie setki, obstawiali wyniki i przebijali stawki jak zwariowani. Były też kobiety, niektóre w wieczorowych sukniach i obwieszone biżuterią; patrzyły, jak dwaj żule z rozmiękłymi mózgami rzucają się na siebie, młóć i kopia,

przewracają się i podnoszą, wrzeszcząc niezrozumiale. Tłum śmiał się, wiwatował i dopingował przeciwników.

Ten show jest podobny, tyle że stawkę podbijają pigułki odchudzające i towarzystwa ubezpieczeniowe, więc Hodges przypuszcza, że zawodnicy (bo to zawodnicy, chociaż prezenter nazywa ich „gośćmi”) dostają trochę więcej niż trzydzieści dolarów i butelkę belta. I żadne gliny się nie wtrącają, bo to równie legalne jak loteria.

Kiedy show się kończy, pojawia się sędzina, która nie bierze jeńców, osłonięta zawodową maską zniecierpliwionej prawości, i wysłuchuje skarg różnych małych gnojków, ledwie hamując wściekłość na ich głupotę i małostkowość. Następny jest tłusty psycholog rodzinny, który doprowadza swoich gości do płaczu (nazywa to „przebiciem muru zaprzeczenia”) i każe im wyjść, jeśli któryś ośmieli się zakwestionować jego metody. Hodges przypuszcza, że tłusty psycholog nauczył się tych metod ze starych filmów instruktażowych KGB.

Hodges przełyka tę porcję kolorowego gówna codziennie po południu, siedząc w fotelu La-Z-Boy z rewolwerem ojca — tym, który tato nosił jako krawężnik — na podręcznym stoliku. Zawsze podnosi go kilka razy i zagląda do lufy. Bada tę okrągłą ciemność. Przy kilku okazjach wsunął go do ust, żeby sprawdzić, jakie to uczucie, kiedy naładowana broń leży na języku i celuje w podniebienie. Można się przyzwyczaić.

Gdybym potrafił pić z dobrym skutkiem, myśli, mógłbym to odłożyć. Mógłbym to odłożyć przynajmniej na rok. A gdybym to odłożył na dwa, ta potrzeba mogłaby minąć. Mógłbym się zainteresować ogrodnictwem albo obserwowaniem ptaków, albo nawet malowaniem. Tim Quigley

zaczął malować. Na Florydzie, na osiedlu dla emerytów zamieszkanym przez starych gliniarzy. Podobno Quigley naprawdę się tym pasjonował i nawet sprzedał kilka swoich prac na Ulicznym Festynie Sztuki w Venice. To znaczy do czasu udaru. Po udarze spędził osiem czy dziewięć miesięcy w łóżku, ze sparaliżowaną całą prawą stroną ciała. Skończyło się dla niego malowanie. A potem odszedł. Pa, pa.

Rozlega się dzwonek oznajmiający początek rundy i rzeczywiście obie kobiety rzucają się na chuderlawego faceta w krzykliwym krawacie, błyskają pomalowane paznokcie, powiewają długie włosy. Hodges znowu sięga po broń, ale zaledwie jej dotknął, słyszy kliknięcie klapki we frontowych drzwiach i szelest poczty spadającej na podłogę w holu.

Nic ważnego nie przychodzi pocztą w tych czasach e-maili i Facebooka, ale Hodges mimo wszystko wstaje. Przejrzy listy i odłoży ojcowski M & P .38 na następny dzień.

2

Kiedy Hodges wraca na fotel ze skromną kupką listów, prezenter show żegna się i zapowiada widzom TV Land, że jutro w programie zobaczą karłów. Fizycznych czy umysłowych, nie precyzuje.

Obok fotela stoją dwa małe plastikowe kosze, jeden na butelki zwrotne i puszki, drugi na śmiecie. Do kosza na śmiecie trafia reklamówka z Walmartu obiecująca OBNIŻKĘ CEN; oferta ubezpieczenia pogrzebowego adresowana do NASZEGO ULUBIONEGO SĄSIADA; ogłoszenie, że

wszystkie DVD będą sprzedawane o pięćdziesiąt procent taniej tylko przez jeden tydzień w Discount Electronix; pocztówka z prośbą o „Państwa ważny głos” na faceta startującego do zwolnionej posady w radzie miejskiej. Na zdjęciu kandydat przypomina Hodgesowi niejakiego doktora Oberlina, dentystę, który stanowił postrach jego dzieciństwa. Jest też ulotka z supermarketu Albertsona. Tę Hodges odkłada (przykrywając chwilowo rewolwer ojca), ponieważ pełno w niej kuponów.

Ostatnia przesyłka wygląda na prawdziwy list — dość gruby — w standardowej biznesowej kopercie. Zaadresowany jest do Det. K. Williama Hodgesa (Em.) na Harper Road 63. Nie ma adresu nadawcy. W górnym lewym rogu, tam, gdzie zawsze, Hodges widzi drugą w dzisiejszej poczcie uśmiechniętą buźkę. Tylko że to nie Śmieszek z Walmartu z przymrużonym okiem, ale raczej e-mailowy emotikon Śmieszka w ciemnych okularach, szczerzącego zęby.

Budzi wspomnienia, i to niedobre.

Nie, myśli Hodges. Nie.

Ale otwiera list tak szybko i gwałtownie, że rozdziera kopertę i wysypują się cztery zadrukowane kartki — nie napisane na maszynie, tylko wydrukowane komputerową czcionką, która wygląda jak maszynowa.

„Drogi detektywie Hodges”, brzmi nagłówek.

Hodges sięga, nie patrząc, strąca ulotkę Albertsona na podłogę, po omacku omija broń, nawet tego nie zauważywszy, i chwyta pilota. Wyłącza telewizor, przerywając gderanie sędziny niebiorącej jeńców, i skupia uwagę na liście.